„SŁOWO BOŻE"

Dodatek do Nr. 11

Ewangelia na niedzielę III postu.

Bracia, Bądźcie naśladowcami Bożymi, jako synowie najmilsi: a chodźcie w miłości, jako i Chrystus umiłował nas, i wydał samego siebie za nas objatą i ofiarą Bogu, na wonność wdzięczności. A porubstwo i wszelka nieczystość, abo łakomstwo, niechaj nie będzie ani pomienione między wami, jako świętym przystoi: abo sprośność, abo głupia mowa, abo żartowanie które do rzeczy nienależy: ale raczej dziękowanie. Bo to wiedzcie rozumiejąc, iż wszelki porubca, abo nieczysty, abo łakomiec, co jest bałwochwalstwo, niema dziedzictwa w królestwie Chrystusowem i Bożem. Niechaj was nikt nie zwodzi próżnemi słowy; abowiem dla tegoć przychodzi gniew Boży na syny niewierności. Nie bądźcież tedy uczestnikami ich. Abowiem byliście niekiedy ciemnością: lecz teraz światłością w Panu. Jako synowie światłości chodźcie: bo owoc światłości, jest we wszelakiej dobrotliwości, i sprawiedliwości, i prawdzie

Ewangelia u św. Łukasza, w rozdziale 11.

Smutna jest dusza moja aż do **śmierci!**

Najmilsi w Panu! W **tych słowach** wyraził sam P. Jezus uczucia, jakie Go przejmowały w czasie tej straszliwej walki wewnętrznej, którą przechodził na Górze Oliwnej. Cierpienia, jakich doznawał wówczas, musiały być naprawdę wielkie, skoro wyprowadziły Go niejako z równowagi, napełniły dusze Jego takim niepokojem, jakiego nie doznawał nigdy przedtem. Na Jego obliczu malował się zawsze nadziemski spokój, pogoda ducha, nic nigdy nie zdołało Go zaskoczyć, zmieszać, przerazić, wobec największych swoich wrogów zachował ten sam spokój i swobodę na najcięższe ich zarzuty odpowiadał bez śladu zakłopotania lub niecierpliwości — wśród największych cierpień nie wyszło z ust Jego słowo skargi, aż oto teraz na Górze Oliwnej zmienił się nie do poznania. Jakgdyby nie wiedział, co z sobą począć, dokąd się zwrócić, dokąd uciec przed tym strasznym, ponurym obrazem, jaki się przedstawia Jego duszy — szuka samotności. to znowu ucieka przed nią, przychodzi do swoich uczniów, to znowu od nich się oddala, pada na ziemię, za chwilę wstaje — podnosi wzrok swój w niebo, to spuszcza go do ziemi, modli się, za chwilę przerywa modlitwę — zwraca się do Ojca niebieskiego, to znowu do uczniów, jakgdyby u nich szukał pomocy i pokrzepienia. Gdziekolwiek się jednak zwróci. wszędzie towarzyszy Mu ta sama bo-

leść, wszędzie spotyka ten sam obraz, który trwogą śmiertelną przejmuje Jego serce, smutkiem niezmiernym napełnia Jego duszę. To też słuszna, byśmy Go nie opuszczali w chwili tak krytycznej, lecz rozważali dalej tę tajemniczą walkę wewnętrzną, jaką staczał na Górze Oliwnej.

Na wspomnienie cierpień, jakie Go czekały lęk i trwoga ścisnęły Jego serce, widok całych zastępów grzechów i nieprawości jakie na Nim zaciężyły, napełnił duszę Jego wstrętem i odrazą, jaką odczuwać może tylko Bóg trzykroć święty na widok tak bezdennego oceanu zbrodni i nieprawości. Trzeciem uczuciem, które szarpało Jego świętą duszą wśród tej walki straszliwej to smutek i przygnębienie tak silne i żywe, że zdolne były same śmierć na Niego sprowadzić, odłączyć duszę od ciała. Smutna jest dusza moja aż do śmierci" skarży się sam przed swoimi uczniami, smutna aż do śmierci nie tylko w tem znaczeniu, że już przed śmiercią pocieszyć się nie miała, ale smutna do tego stopnia, że ten smutek musiałby zakończyć się śmiercią, gdyby jej nie powstrzymał swą Boską wszechmocą.

I cóż było powodem tak wielkiego smutku i przygnębienia? Oto nic innego, tylko widok strasznej niewdzięczności, jaka Go spotkać miała od ludzi za wszystko, co dla nich uczynił, tej straszliwej, niewytłómaczonej obojętności, jaką zapłacić Mu mieli za miłość, poświęcenie i ofiarę złożoną za nich i dla nich. Na tę niewdzięczność i obojętność nie potrzebował długo czekać, doznał jej tej samej chwili i to od tych, od których miał wszelkie prawo żądać by Go przecież lepiej zrozumieli, okazali choć odrobinę współczucia i wdzięczności — od swoich apostołów. Przez całe trzy lata okazywał im tyle dobroci i miłości, tyle cierpliwości i wyrozumiałości, brał ich tyle razy w obronę przed napaściami faryzeuszów, otaczał opieką prawdziwie ojcowską, przed chwilą oddał im wszystko, co posiadał, samego siebie w Najśw. Sakramencie, w swej mowie pożegnalnej wylał na nich tyle uczucia, nazywając ich wyrazami najczulszymi, synaczkami, przyjaciółmi, prosząc gorąco Ojca niebieskiego, by ich zachował, bronił i ochraniał — a oni, jakżeż odpłacili Mu się za to wszystko? Oto jeden z nich właśnie w tej chwili dobija targu ze starszyzną żydowską o cenę Krwi Jego, drugi, książe apostołów obdarzony władzą, która sięgać ma do nieba, zaprze się Go niedługo, wezwie Boga na świadectwo, że nie zna Jezusa, wszyscy wreszcie opuszczą Go sromotnie, zostawią samego, bezbronnego w szponach motłochu żołdackiego i zawziętości żydowskiej. Nawet ci trzej, na których niejako najwięcej liczył, których przed innymi wybrał, Piotr Jakób i Jan pomimo Jego próśb i upomnień śpią snem twardym bezmyślni, nieczuli na wszystko, co się wkoło nich dzieje i to w chwili, kiedy On się stracha, mdleje, walczy i upada. I ta to właśnie nieczułość niedołężna, ta bezmyślna niewdzięczność apostołów

obok zdrady Judasza i zaparcia się Piotra wprawiła Chrystusa w taki smutek i przygnębienie graniczące ze śmiercią.

A gdy z najbliższego swego otoczenia rzucił wzrokiem na szersze warstwy ludu żydowskiego, zobaczył Zbawiciel tę samą czarną, bezmyślną niewdzięczność, która smutek Jego potęgować musiała. Przez trzy lata przebiegał całą krainę żydowską, wszystkim dobrze czynił, nauczał, uzdrawiał, wskrzesał, karmił, pocieszał, łzy ocierał — zdawało się, że przynajmniej lud cały pociągnął do siebie, lecz jakżeż bolesny zawód miał Go spotkać nazajutrz. Oto ten lud Jego ukochany wołać będzie do Piłata: Wypuść nam Barabasza, a Jezusa ukrzyżuj! — Widział P. Jezus okiem duszy te ręce wyciągnięte ku sobie z wściekłością, słyszał te bluźniercze krzyki: Ukrzyżuj go, ukrzyżuj, a widok ten, ta niesłychana niewdzięczność ludu napełniła Go niezmiernym smutkiem, wycisnęła na usta Jego te słowa skargi; Ludu mój, ludu cóżem ci uczynił?

A kiedy spojrzał w dalszą przyszłość przez cały szereg wieków, aż do naszych czasów, czy jaśniejszy zobaczył obraz, czy nasza wdzięczność a raczej niewdzięczność i zimna obojętność nie musiały Mu sprawić smutku i boleści, czyż patrząc np. na nas, jak obojętnie przechodzimy obok krzyża, jak zimno i niechętnie słuchamy o Jego męce, jak brak w sercach naszych żywszego dla Niego uczucia, jak łatwo przywiązujemy się do stworzeń i osób, tylko nie do tego, któremu winniśmy całe nasze serca — czyż widok tego wszystkiego nie musiał smutkiem niewymownym napełnić Jego duszy? Jeśli dotąd mógł Zbawiciel słusznie skarżyć się na naszą obojętność i niewdzięczność, jeśli dotąd napróżno wołał i prosił: Synu, córko daj mi serce twoje to zwróćmy się odtąd do Niego całkowicie, oddajmy Mu się zupełnie, Jego służbie poświęćmy wszystkie nasze siły, by nie potrzebował tak gorzko uskarżać się na naszą niewdzięczność.

Wszystkie te uczucia jednak, jakie wzbierały dotychczas w Sercu Jezusa, ta trwoga i smutek, ten wstręt i obrzydzenie nie były tak gwałtowne, żeby mogły pot krwawy wycisnąć na Jego ciało. Na widok cierpień, jakie Go czekają, na widok opuszczenia i poniżenia, które przyjął na siebie, tłoczy się w duszy Jego uporczywie, natrętnie, nieubłaganie to jedno pytanie, którego nie można zostawić bez odpowiedzi, choć ta odpowiedź przyprawi Go o omdlenie, sprowadzi nań męki prawdziwego konania, a to pytanie brzmi krótko: Jaki pożytek z krwi mojej, z mojej męki i cierpień? A w odpowiedzi na to dręczące pytanie stają przed oczyma Zbawiciela dzieje całej ludzkości od początku aż do końca, przed oczyma Jego duszy przesuwają się kolejno wszystkie narody, pokolenia, rasy i szczepy, miliony i miliardy ludzi, za których przeleje krew swoją, odda życie swoje, a wśród tych miliardów jakiż pożytek z Krwi Jego? Zaprawdę mały, znikomy wsku-

tek złości ludzkiej. Z pośród tych wszystkich milionów i miliardów maleńka, przeważająca drobna cząsteczka liczyć się będzie do Jego wyznawców, dla ogromnej, przygniatającej większości imię Jego będzie nieznane, dzieło Odkupienia jakby nieistniało. Spogląda P. Jezus w niebo i smutek ogarnia Jego serce — spogląda w przepaść piekła, a oto przerażenie oddech Mu zapiera, serce Jego przenika ból i uciśnienie niezmierne, krew zaczyna krążyć tak gwałtownie, iż przenika ciało, pokrywa je potem krwawym i spada kroplami na ziemię. To widok dusz pędzących w szale jakimś i obłędzie niepojętym na własne zatracenie wstrząsa tak gwałtownie całą istotą Jezusa, iż z nadmiernego wysiłku krople krwi występują na Jego ciało. Chciałby zatrzymać te dusze nieszczęsne w ich szalonym pędzie, nie może znieść tego widoku, to gorycz najcięższa, nieznośna, ponad Jego siły i dlatego woła z takiem przejęciem do Ojca swego: Ojcze niech odejdzie odemnie ten kielich goryczy, kielich potępienia tylu dusz nieśmiertelnych, wszystkie cierpienia przyjmę ochoczo, byle uratować więcej dusz, byle zbawić, pozyskać dla Ciebie choćby wszystkie. I długo, długo trwało to straszliwe szamotanie się, ten bój zacięty o dusze nieśmiertelne, ta walka, która Go wyczerpała do ostatka, oblała krwawym potem, obaliła bezwładnie na ziemię.

Takie męczarnie przechodził P. Jezus na widok dusz pędzących na wieczne potępienie, a jakież wrażenie czyni na nas ten sam widok, a nawet niebezpieczeństwo własnego potępienia? Wszak codziennie pewna, może nawet znaczna liczba dusz dostaje się w tę otchłań bezdennego cierpienia, zwątpienia i rozpaczy, wszak i nam groziło i grozi tak często to straszne niebezpieczeństwo. Jeśli Jezus tyle cierpiał na widok potępienia dusz obcych, to jakże sobie wytłomaczyć tę naszą straszną, niepojętą obojętność na sprawę własnego zbawienia? Wszak chodzi tu nie o zapewnienie sobie szczęśliwej, spokojnej przyszłości, ale o nasze wieczne, nieodmienne szczęście lub nieszczęście! Cóż czynimy, żeby zapewnić sobie to szczęście wieczne, a odwrócić od siebie niebezpieczeństwo wiecznego potępienia? Otrząśnijmyż się już raz, Najmilsi, z tej obojętności nieznośnej, zacznijmy dzisiaj myśleć naprawdę o naszej wieczności i pracować dla niej usilnie pomni, że Królestwo niebieskie gwałt cierpi i dlatego gwałtem zdobywać je trzeba. Amen. *Ks. Dr. Fr. Madeja.*

NIHIL OBSTAT. X. J. Kanty Tobiasiewicz, cenzor.
L. 2062. Pozwalamy drukować.
Z Książęco-biskupiego Konsystorza
Kraków, dnia 15 marca 1919 r.
(—) Adam Stefan, Książę biskup